



# Tove Jansson

## Słoneczne miasto

*dwie powieści*



MARGINESY



# Tove Jansson

## Słoneczne miasto

Przełożyły  
Teresa Chłapowska  
Justyna Czechowska

MARGINESY

# Słoneczne miasto

Przełożyła Justyna Czechowska

Książka ukazała się dzięki dofinansowaniu  
Finnish Literature Exchange FILI



*Stenåkern*  
*Solstaden*

COPYRIGHT © Tove Jansson 1974 & 1984

FIRST PUBLISHED BY SCHILDTS FÖRLAGS AB, FINLAND.  
ALL RIGHT RESERVED.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY  
Teresa Chłapowska, Justyna Czechowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY  
WYDAWNICTWO MARGINESY, WARSZAWA 2017

## SUN CITIES

te wspaniałe, spokojne miasteczka  
są ożywcze niczym stare wino...  
To raj na ziemi. Wieczne słońce –  
gwarantowane!

Cytat z amerykańskiej broszury

W Saint Petersburgu na Florydzie, gdzie zawsze jest gorąco, a palmowe esplanady biegną wzdłuż błękitnego morza, ulice są proste i szerokie, a domy otoczone bujnymi krzewami i drzewami. W tej ładnej i spokojnej części miasta większość domów jest z drewna, często jasnego, mają otwarte werandy, na których fotele bujane stoją przez cały rok w długich rzędach, ciasno obok siebie. Nad ranem jest bardzo cicho, puste ulice zawsze skąpane są w promieniach słońca. Niebawem goście wylegną na werandy lub zejną schodami w dół, by powoli przenieść się do The Garden albo innego ładnego miejsca z obsługą. Najczęściej chodzą w małych grupkach lub parami. Nieco później zasiadają w swoich fotelach bujanych lub wybierają się na krótką przechadzkę.

W Saint Petersburgu pracuje więcej fryzjerów niż gdziekolwiek indziej, specjalizują się oni w układaniu drobnych puszystych loków z cienkich białych włosów. Setki starszych pań wędrują pod palmami z białymi kędzierzawymi głowami, panów jest tu niewielu. W pensjonacie każdy albo ma swój pokój, albo dzieli go z drugą osobą, niektórzy mieszkają w tym jednostajnym, zbawien-

nym klimacie tylko przez chwilę, ale większość przez cały czas, który im pozostał. Nikt nie choruje, to znaczy nie obłożnie, takie rzeczy załatwiane są niesłuchanie szybko przez karetki, te zaś nigdy nie jeżdżą na sygnale. Między drzewami krąży sporo wiewiórek, nie mówiąc o ptakach, a oswojone są do granic bezczelności. Wiele sklepików oferuje aparaty słuchowe i inne udogodnienia, na każdym rogu anonsuje się w jasnych, wesołych barwach natychmiastowy pomiar ciśnienia, wszelkie informacje na temat emerytur czy kremacji, a także udzielanie porad prawnych. Ponadto dołożono starań, by oferta wzorów robótek na drutach, gier planszowych, materiałów do wyrobu broszek i tym podobnych była jak najbogatsza, a obsługa przyjazna i pomocna. Wędrujący esplanadami w stronę morza lub w górę ku parkowi miejskiemu nie spotka tu żadnych dzieci, hipisów ani psów. Jedynie pod koniec tygodnia molo i promenada przy plaży pełne są ludzi, którzy przybywają do tego pięknego miasta, by popatrzyć na filmowy okręt Bounty. Wtedy plaża tętni życiem i kolorami, dopiero o zmroku odjeżdżają ostatnie auta.

Pensjonat Butler Arms leży przy trzeciej przecznicy od Drugiej Alei; z narożnego pokoju na najwyższym piętrze widać kawałek morza i olinowanie Bounty, wieczorami oświetlone. Weranda Butler Arms należy do najpiękniejszych, otacza ją wystrugana drewniana poręcz, a ponieważ stoi tam tylko osiem bujanych foteli, sprawia wrażenie przytulnej. Poza tym warto nadmienić, że dom jest bardzo stary, ma prawie siedemdziesiąt pięć lat.

Dwa razy dziennie Joe z Bounty przejeżdża aleją na swoim motocyklu: najpierw tuż przed jedenastą, kiedy

otwierają kasę, a potem o zmroku, gdy zapala się olinowanie; pędzi w zastraszającym tempie z otwartym tłumikiem, na zakręcie przy Palmerze wyrzuca nogę w bok i sunie podeszwą po asfalcie, potem znów robi się cicho. Joe z Bounty kocha się w Lindzie, która sprząta w Butler Arms.

Pani Elizabeth Morris z Nebraski, lat siedemdziesiąt siedem, zajmowała na werandzie drugi fotel od poręczy, przy wielkiej magnolii. Najbliżej magnolii siedział pan Thompson, udający głuchego, a po drugiej stronie pana Peabody, osoba bardzo nieśmiała, dzięki czemu pani Morris mogła w spokoju snuć przemyślenia. Przybyła do Saint Petersburga kilka tygodni wcześniej, bez eskorty, za to z bólem gardła, a gdy dojechała do Butler Arms, straciła głos na dobre. Na karteczce wyrwanej z notesika zapisała swoje dane, imię, kondycję oraz kilka antyków, które miały dotrzeć później. Milczenie uratowało ją od pospiesznego, gorliwego zwierzania się, co jest częstym zagrożeniem po długiej samotnej podróży. Kiedy głos jej wrócił, a niebezpieczna chęć zwierzania się minęła, przyzwyczajali się, że jest milcząca, o nic nie pytali.

Elizabeth Morris była mocno zbudowana, trzymała się niezwykle prosto. Makijaż ograniczała do brwi, które starannie wyczesane, tworzyły piękne skrzydła. Te majestatyczne brwi były ciemnoniebieskie, w połączeniu z siwymi włosami nadawały jej jasny i przenikliwy wygląd, ale jej oczy widywano rzadko.

Panna Peabody nachyliła się i powiedziała:

– Pani ma tyle różnych okularów przeciwsłonecznych?

– Trzy pary – odparła. – Sprawiają, że ulica robi się niebieska, brązowa albo różowa. Najlepsza jest niebieska.

Joe z Bounty przejechał na motocyklu, zawarczał za zakrętem, a potem puścił się prosto ku morzu. Z tyłu namalował wielki biały krzyż.

– Pierdzi gorzej ode mnie – odezwał się Thompson.

Czekali na pocztę. Każdego ranka panna Frey wychodziła na werandę z pocztą, raz w zielonych spodniach, raz w różowych, stara chuda jaszczurka, sześćdziesiąt pięć lat na karku i różowe spodnie. Ach, te baby, pomyślał Thompson, zdrewniały w fotelu, po czym wydał z siebie długi jękliwy gwizd.

Peabody chwyciła sąsiadkę za rękę i wykrzyknęła: „Atak, to atak, zróbcie coś!”, a Elizabeth Morris wyrwała ramię, jakby się bała, że zostanie ugryziona. Pani Rubinstein, siedząca nieco dalej na werandzie, zauważyła, że jeśli pokaz Thompsona miał być próbą generalną przed tym atakiem, to można go uznać za raczej nieudany. Panna Peabody spojrzała z ukosa, wyszeptując przeprosiny, miała małe, wąskie przednie zęby, przez co przypominała ryjówkę. Pani Morris musi zrozumieć, z nią tak zawsze, zbyt impulsywna, zbyt łatwo ją oszukać, to nie jej wina...

Poranek był chłodny i rześki, pachniał trawą, zapach trawy jest taki sam, gdziekolwiek by się ją kosiło. Nie powinienam była robić uniku, pomyślała Elizabeth Morris, tak jest za każdym razem, gdy ktoś mnie dotknie, a teraz zraniłam tę myszkę. Fotele bujane stały zbyt blisko siebie. Tylko Hannah Higgins się bujała, zawsze się bujała, spokojnie i powoli w przód i w tył, wyciągnęła styropianowe pudełko po jajkach, nożyce i ołówek. Bardzo sprawnie wycinała lilie z głębokimi kielichami i czterema płatkami wygiętymi na zewnątrz. Lilie te stały zazwyczaj na piani-

nie podczas Wielkiej Nocy, na Boże Narodzenie pani Higgins wycinała płatki śniegu i różne figurki, z pudełek po jajkach można zrobić zadziwiająco wiele rzeczy. Jej słabe oczy za grubymi szklami posuwały się równo za nożycami, szeroką twarz pokrywały tysiące mikroskopijnych zmarszczek, równiutkich jak na krepinie. W lipcu miała skończyć siedemdziesiąt osiem lat. Pani Morris zauważyła, że potrzeba pewnej uwagi, by powstrzymać fotel od bujania, najmniejszy ruch mógł go rozhuścić. Szybko się tego nauczyła, ale za każdym razem, gdy wstawała z tego błogosławionego mebla, nogi miała sztywne od wysiłku. Czasem zastanawiała się, czy inni mają tak samo.

– Dzień dobry wszystkim, znowu słońce – zawołała panna Frey, kiedy wyszła z holu. Mówiła tak co rano, ale dziś była zmęczona i powiedziała to ostrzej niż zazwyczaj. Bardzo nieostrożnie, jakby prowadzona przez demony, podeszła prosto do pani Rubinstein i tonem, którego czasem używa się w stosunku do bardzo małych psów albo cudzych dzieci, oznajmiła: – Liścik! Poczta przyniosła liścik!

Wielka czarnooka kobieta powoli zrobiła półobrót i wbiła wzrok w pannę Frey, prosto w jej umalowaną, zniszczoną twarz pod peruką, równie wolno zniżyła wzrok i przyglądała się listowi, nie biorąc go do ręki. Wszyscy wiedzieli, że teraz będzie nieprzyzwoita. Dłoń panny Frey zaczęła drżeć. Wreszcie pani Rubinstein się odezwała:

– Och, najdroższa panno Frey. Dostałam własny liścik, a do tego własną broszurkę. O plastiku. Moja nieśmiałość, panno Frey, jedynie nieśmiałość nie pozwala mi

powiedzieć, co może pani z tym listem zrobić. – Wydała z siebie krótki chrapliwy śmiech, który najwyraźniej miał sugerować, gdzie panna Frey mogła sobie wsadzić ów list.

Thompson wyprostował się i spytał:

– Co powiedziała? Znowu coś nieprzyzwoitego?

– Nic ważnego – odparła pani Morris.

Panna Frey zaczerwieniła się i dziarsko poklepała panią Rubinstein po ramieniu.

– A fe, jacy wy jesteście niegrzeczni – wykrzyknęła, upuszczając list na podłogę, i odeszła.

– Co powiedziała? – powtórzył Thompson.

Trawnik widziany przez okulary pani Morris był niebieski, pustka ulicy odległa jak na księżycu, a niebieski Thompson wyglądał na niezwykle chorego.

– Nic ważnego. Pani Rubinstein próbowała być śmieszna – odezwała się uspokajająco.

– Ale co powiedziała, co powiedziała! – marudził Thompson. Podniósł się z fotela, zbliżył swoją krzywą twarz do jej twarzy i wrzasnął, że tak to właśnie jest z tymi babami, człowiek nigdy nie może usłyszeć nic śmiesznego! Równie dobrze można by umrzeć! – Można być martwym jak kamień i was też to dotyczy, jak wy tam się nazywacie!

Wyczekiwał z dłonią za uchem, cała weranda zamilkła. Pani Morris zdjęła okulary. Kiedy mężczyzna nie był już taki niebieski, wyglądał w miarę normalnie. Odezwała się chłodno, że pani Rubinstein najpewniej miała na myśli to, że panna Frey może się podetrzeć tam z tyłu rzeczonym listem. Thompson słuchał uważnie, potem znów opadł na fotel.

– Bardzo śmieszne. – Wbił wzrok w ulicę. – Moje panie, jesteście przezabawne.

Możliwe, że usytuowanie foteli bujanych obok siebie, przodem do ulicy, było jedynym praktycznym rozwiązaniem. Z pewnością, pomyślała pani Morris, trudno byłoby ustawić je w kręgach, a więc tak, żeby bujały się ku sobie, zabierałyby wtedy sporo miejsca, co na dłuższą metę by męczyło. Prawdopodobnie pierwotną, naturalną ideą był jeden fotel bujający się w pomieszczeniu, które poza tym jest statyczne.

– Muszę iść – powiedziała panna Peabody – mam w pokoju pranie. – Zaczęła pociągać nosem i szybko opuściła werandę.

Pani Higgins stwierdziła, że znów ją, biedaczkę, poniosło, a pani Rubinstein zapaliła nowego papierosa, czwartego przed obiadem, i odparła, że wszystkie Peabody zawsze biegały do swoich pokoi, gdy je ponosiło. Są takie współczujące, cały czas trzeba je pocieszać. Otworzyła gazetę i czytała o losach świata z miną osoby wtajemniczonej i pełnej pogardy. Rebecca Rubinstein miała osiemdziesiąt jeden lat. Jej włosy układały się w białą tiarę, policzki pod opadającymi powiekami tworzyły ciężkie gładkie fałdy, wciąż w nasyconym kolorze nieco przejrzałego owocu.

Martwy jak kamień, powtórzyła w myślach Elizabeth Morris. Udawała, że śpi, okulary przeciwsłoneczne zasłaniały jej oczy. Wreszcie zatriumfował. Nie było to uczciwe, ale trochę uciechy musi dziad mieć w życiu. Nie sądzę, pomyślała poważnie, nie sądzę, żeby coś jeszcze naprawdę budziło mój strach. Może Nebraska i jakieś



tajemnice, niektóre rodzaje muzyki, ale nie śmierć. Zapomniała wspomnieć o strachu przed pokojem – pokój, który zostawia się za sobą otwarty, bywa żałośnie opuszczony: trzeba pochować oznaki i dobytek starości, małe nieestetyczne efekty zapomnienia – całą konstrukcję pomocniczą bezradności, niezauważaną, lecz tak oczywistą. Pani Morris ją ukrywała, starała się przywrócić godność przedmiotom i robiła wszystko, by każdego dnia oddawać Lindzie puste, bezosobowe pomieszczenie. Kiedy się ubrała i schowała cały pokój, była zmęczona, ale nigdy nie odważyła się zdrzemnąć na werandzie. Mogłaby zacząć chrapać, szczeka by jej opadła. Odkurzaczy Lindy warczał nieustannie w holu, czasem uderzał o ścianę, a potem jeździł dalej. Pani Morris zasnęła spokojnie, głowa opadła jej na bok, spała bezgłośnie, z zamkniętymi ustami. W drugiej części werandy panny Pihalgi wstały jednocześnie i zabrawszy ze sobą książki, poszły w stronę morza. Czytając, siostry były całkowicie oderwane od tego, co działo się wokół nich. A czytały niemal zawsze.

Kiedy Evelyn Peabody wchodziła po schodach, powłócząc nogami, dźwigała w sobie wielkie współczucie, które za każdym razem, gdy nie potrafiła obronić swojego stanowiska, puchło, stawało się coraz cięższe i coraz bardziej niesforne. Słowo za słowem i krok po kroku analizowała bezwartościową i niepotrzebną rozmowę na werandzie. Och, ci wszyscy ludzie, którzy rzucają słowa na wiatr, jak rzuca się kamieniem albo jak wyrzuca się śmieci, i jeszcze ten biedak, pan Thompson, zawsze wykluczony! Właściwie równie dobrze mógłby już nie żyć. A ona znów uciekła, wystawiając się na pośmiewisko, przecież

w pokoju nie ma żadnego prania, jak to możliwe, że ten, kto tak wielbi prawdę, musi być wyśmiewany, a ten, kto pragnie sprawiedliwości, nie potrafi o nią zawalczyć! Że równie dobrze mógłby już nie żyć. Potworne! Przecież miał rację, skończył osiemdziesiąt lat, i tak wytrzymał dłużej, niż powinien. Ona ma siedemdziesiąt cztery, cóż to dla takiej damy. Był też biedny, żył dzięki dobrej woli pensjonatu, sądząc po tym wszystkim, miał za sobą życie pełne zaniedbań, tak to już jest, jak człowiek nie uważa.

Panna Peabody postanowiła być wobec niego miła, okazywać mu możliwie dużo sympatii, chciała się tak zachowywać, chociaż to naprawdę nieprzyjemny, złośliwy staruch. Wypłukała szal tylko po to, by prawdzie stało się zadość, wyciągnęła swój długi szary sweter i zaczęła przesywać guziki na plecach. Człowiek się kurczy. Szybie uspokaja myśli. Evelyn Peabody przez całe życie szyła, przesywała stare ubrania, nicowała, wszywała i robiła zakładki, potrzeba sprawności i wielkiej cierpliwości, by ukryć to, co zniszczone i źle zrobione, a pokazać to, co piękne. Później w salonach pojawiły się nowe materiały, ale sztuka ukrywania i uwydatniania wciąż była potrzebna. Panna Peabody pracowała szybko i pewnie. Oczy wytrzymały teraz tylko przez pół godziny. Nie szyła już dla nikogo oprócz samej siebie. Sprawnie, raz koło razu wbijając igłę w materiał, tworząc długie rzędy równych małych wkłuc, myślała o kobietach, które chciały mieć wkładki przeciwpotne pod pachami, kobietach, które jej nie rozpoznawały, ponieważ patrzyły zawsze tylko w lustro, a gdy już o nich wszystkich pomyślała, doszła do tego cudownego poranka, kiedy to ona,

Evelyn Peabody, wygrała na Loterii Państwowej. Nikt wówczas nie pracował. Panna Arundell zakrzyknęła: „Boże, ze wszystkich ludzi właśnie ona! Popatrzcie na nią, aż pobladła ze szczęścia...”. Pytali: „Co pani kupi?“. A ona zawołała: „Słońce! Słońce! Własny pokój, tylko dla siebie”. Tak odpowiedziała, nie zastanawiając się nad tym nawet przez moment. Jej ciało było drobne i zimne, wygrała samodzielnie, swoim własnym numerem na loterii, sprawiedliwości wreszcie stało się zadość.

Kiedy Linda weszła ze świeżymi ręcznikami, panna Peabody wstała, zawsze wstawała, kiedy Linda wchodziła do jej pokoju. To był rytuał. Za każdym razem zachwycał ją ten spokojny i promieniejący uśmiech, tak niewiarygodnie piękny, że ona sama też się uśmiechała, zakrywając usta ręką. Linda weszła niespiesznie do łazienki. Zawsze nosiła się na czarno, a jej czarne włosy opadały na plecy niczym skrząca się miotła. Miała doskonałą twarz, bladą, z leciutkim cieniem smutku, który jednak jej nie dominował. Linda to meksykańskie imię, oznacza „wspaniałą”, „ukochaną”.

Na werandzie Hannah Higgins nadal wycinała pudełka po jajkach, trzymała je tuż przy nosie; wsadzając potem jedną lilię po drugiej pod pachę, powiedziała, że nie ma w tym roku złotych przetyczek do fajek, więc słupki muszą być zielone. Pani Rubinstein pomyślała, z czystego przyzwyczajenia, czyby czasem nie skomentować tych słupków jakoś sprośnie, ale straciła ochotę. Postanowiła tylko opuścić powieki w wielkiej pogardzie, pogardzie, którą darzyła wielkanocne ozdoby, werandy, przyjemny klimat, a ponadto wszystko, czym dało się gardzić w taki

piękny pusty dzień w Saint Petersburgu na Florydzie. Thompson spał.

– A teraz... – odezwała się pani Higgins. A teraz odbędzie się wiosenny bal i ona ma zamiar iść na czarno, to dobry kolor dla starych kobiet, przynajmniej tam, skąd pochodzi, szczególnie jeśli mają nadwagę.

Nagle wypuściła z rąk to, co w nich trzymała, odrzuciła głowę do tyłu i wybuchła zadziwiająco jasnym i prawie niewinnym śmiechem. Thompson mógłby być dla niej niezłą partią – jedno nie widzi, a drugie nie słyszy! Czyż to nie zabawne? Pani Rubinstein słuchała od niechcenia, przyglądała się swoim pięknym starym dłoniom i zdobiącym je pierścieniom. Pierścień od Abraschy był największy, nosiła go zawsze mimo jego pospolitości. Comiesięczny list był spóźniony już cztery dni. Pudełka po jajkach. Wielkanocne lilie. Wieśniaczka w czerni. Odwróciła swoją wielką twarz z wydatnym nosem w stronę ulicy i pensjonatu Friendship's Rest naprzeciwko. Jego mieszkańcy wrócili z obiadu i teraz wszystkie fotele były zajęte. Tuzin białych twarzy spoglądał wprost przed siebie, tuzin starych tyłków, każdy w swoim fotelu bujanym, pomyślała pani Rubinstein. A niedługo będą wywijać tymi tyłkami najlepiej, jak potrafią, na wiosennym balu w Klubie Seniora. Potem cicho i z pogardą dodała: „Gojim naches”, co w tłumaczeniu oznaczało: „rozrywki chrześcijan”.

Panna Peabody czekała za palmą. Tuż po dwunastej Thompson chodził do Palmera na piwo, mawiano, że w ten sposób okazuje pogardę jedzącym obiad, ale mogło to wynikać także z tego, że nie było go stać i na piwo, i na

obiad, więc wybierał to, co lubił bardziej. Teraz pojawiła się jego laska, stukająca o ulicę coraz bliżej, Peabody zabięła mu drogę i w miarę głośno powiedziała, że można by się napić piwa.

– Piwo – powtórzył Thompson, mijając ją. – A co powstrzymuje panią od wypicia piwa?

Z bliska czuć było, że nie myje się wystarczająco często, widać było, że jest zły. Szli gęsiego w stronę Palmera, on pierwszy, ona za nim, w ciszy; na rogu minęła ich pani Morris, zanurzona w swoim odosobnieniu. Panna Peabody pociągnęła ją za płaszcz i gwałtownie szepnęła:

– Mogę zaprosić panią na szklanekę piwa?

– Nie sądzę – odparła pani Morris, ale ta zakręcona Peabody nie ustępowała, tłumaczyła, że Thompson jest wprawdzie nieprzyjemnym starcem, ale trzeba go pocieszyć, należy robić to, co w mocy człowieka, i przecież w każdym z nas jest coś dobrego... – Proszę się uspokoić – powiedziała pani Morris. – Nie musi pani się tłumaczyć.

Kiedy weszli do Palmera, w przelocie pomyślała, jak wiele współczucia pochodzi z winy i rodzi pogardę, gotowe cnoty wydały jej się wulgarne, nie lubiła panny Peabody. Knajpa okazała się pusta. Usiedli przy barze, Thompson w głębi, zamówił trzy piwa i kanapkę. Pomieszczenie było dość ciemne, długie i wąskie, na jednym końcu drzwi, dalej całkiem zwyczajny bar z półkami pełnymi butelek i tych nieznośnie infantylnych przedmiotów, które wypełniają każdą półkę w każdym barze, lustrzana ściana i ich własne, na wpół widoczne twarze równie przypadkowe i anonimowe jak wszystko inne

w tej przestrzeni. Barman w milczeniu odwrócił się do nich plecami.

– Przyjemnie tu – szepnęła Peabody. – Pani Morris, proszę mi uwierzyć, nigdy nie byłam w prawdziwym barze.

Piwo było gorzkawe. Oparła ręce na ladzie, poczuła, jakie to przyjemne dla pleców, wszędzie powinny być wysokie krzesła, dają poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Przeładowane półki przed lustrem sprawiały, że czuła się tu jak w obcym świecie, z dala od Saint Petersburga. Thompson jadł swoją kanapkę, nie odzywał się. Nie wzbudzając niczyjej ciekawości, Peabody wyciągnęła piątaka i schowała go w zaciśniętej dłoni, było jeszcze za wcześnie, mogła go rozżłościć. Do wiosennego balu nie zostało już zbyt wiele czasu, a czy pani Morris zapięła się do Klubu Seniora? Powinna, jest tam mnóstwo sposobów na spędzanie czasu, pokój hobbistyczny, brydż, gimnastyka i lekcje śpiewu, wystarczy, że skończyło się sześćdziesiąt lat.

– Naprawdę? – zdziwiła się pani Morris.

– Tak. Sporo robi się dla emerytów. Proszę mi wierzyć, nie istnieje na świecie miejsce, gdzie robi się dla nas tak wiele. Zawsze jest lato, no i to morze dookoła!

Pani Morris zauważyła, że te szczegóły być może są tu naturalne, a Thompson zaordynował:

– Jeszcze jedno. I to już.

– Pani Morris – powiedziała Peabody – da pani wiarę, że nigdy jeszcze nie byłam w prawdziwej knajpie!?

– Tak, wspomniała pani.

– Doprawdy? – spytała Peabody niepewnie. – Możliwe.

Przez chwilę milczała, a potem zastrzegła, że bal wiosenny jest równie ważny jak jesienny. Każdy tańczy na własne ryzyko, a reflektor kręci się w rytm tanga i walca. W sali balowej nie wolno palić ani pić. Suknie są fantastyczne. Wiele dam bierze udział w wielkiej kawalkadzie kapeluszy, konkursie na najpiękniejszy kapelusz w Saint Petersburgu. Pani Rubinstein wygrywa za każdym razem!

– Chipsy! – odezwał się Thompson. – I muzykę. Pierwszy walc jest u Palmera.

Barman włączył szafę grającą, pomieszczenie wypełnił powolny, nieco piszczący cowboy blues nastawiony na cały regulator. Elizabeth Morris wzdrygnęła się, ale nic nie powiedziała, musi się przyzwyczaić, musi, wszędzie jest muzyka, nie da się od niej uciec. Na rogu zawarczał motor, piękny chłopiec z Bounty wpadł do środka i podszedł do baru.

– *Hi* – zawołał. – Nie ma nic dla mnie?

– Nie – odparł barman.

– Żadnego listu, nic? Nic z Miami?

– Nic.

Joe odszedł, nie zauważywszy ich, motor ruszył dalej aleją.

– Jeśli chce się potańczyć – odezwała się Peabody – czy mówiłam już, że jeśli chce się potańczyć, to najlepiej jest usiąść na ławkach z przodu? Wtedy wiedzą, czego się oczekuje.

– Kto wie?

– Panowie.

– A gdzie są panowie? – spytała pani Morris.

– Krążą, nie ma ich znów tak wielu...

– Nie żyją – wtrącił Thompson, który wszystko słyszał.

Peabody odwróciła się do niego gwałtownie i położyła dłoń na jego ramieniu, ale pani Morris powiedziała „sza”, więc ta zabrała rękę. Szafa grająca brzęczała, puszczo nową płytę, był to rock. Może Thompson lubił rocka, schował głowę w dłoniach. Możliwe też, że chciał zakryć uszy albo był po prostu zmęczony. Peabody niepostrzeżenie wsunęła piąta pod jego łokieć, a on natychmiast opuścił dłoń i przykrył monetę.

– Jeszcze trzy – powiedział.

– Dwa – odezwała się pani Morris. Czy piwo smakowało panie Peabody?

Niekoniecznie, tak naprawdę to w ogóle, ale podobał jej się bar. Jej myśli były lekkie i beztraskie, cały czas gdzieś odfruwały. Czy pani Morris ma ochotę dowiedzieć się, co robiła kiedyś, zanim przyjechała do Saint Petersburga? Ale pani Morris nie odezwała się, tylko lekko się uśmiechnęła zza okularów. Peabody odwróciła się do lustra nad barem i pomyślała: I co z tego! Nigdy nie zrozumie, co to znaczy. „Krawcowa?” – powtórzy. „Naprawdę? Na loterii? Wspaniale!” Powiem, że byliśmy wielką rodziną, a teraz tylko ja zostałam. „To smutne” – odpowie i dalej będziemy tak siedzieć i właściwie nic nie zostanie powiedziane. Ona i te jej niebieskie brwi, i zero oczu! Thompson znów zaczął mrużyć, a jego głowa kołysała się to w jedną, to w drugą stronę. No tak, pomyślała Peabody, rób, jak chcesz, nie muszę być jedyną osobą, która się przejmuje.

– Dobry kawałek! – odezwał się nagle Thompson. – Jak coś ma grać, to niech gra porządnie, przynajmniej

utrzymują rytm. Peabody, niech pani wrzuci więcej pieniędzy, brakuje mi drobnych.

Pani Morris poruszyła się gwałtownie, ale potem dała sobie spokój. Jak chcą muzyki, to niech mają. Zresztą zaczęły ją boleć głowa i kark. Czekala spięta, aż dopiją piwo.

Kiedy wrócili do Butler Arms, Thompson przytrzymał im drzwi, mówiąc przy tym z szarmancką pogardą:

– Panie przodem.

Peabody, a więc nazywa się Peabody. Wystraszona egocentryczna myszka bez podbródka, z białymi loczkami na głowie. Ale mogła, rzecz jasna, być jeszcze gorsza.

Wieczorem, w przerwie między kolejnymi autokarami turystycznymi, Joe znów przyjechał do Palmera sprawdzić, czy nie przyszła jakaś pocztą. Wyjaśnił, że może nawet nie chodzi o list, ale o kartkę z krzyżem i adresem. Jeśli byłaby tam karteczka z jego nazwiskiem i krzyżem, wiedziałby, co robić.

– Krzyż, mówisz. – Barman rozłożył na barze zapłacone rachunki, wszystkie przekreślone na krzyż. – Czego ty szukasz?

Joe odparł, że czeka na sygnał, by wyjechać, do Miami albo gdzie indziej, to bardzo ważne. Kierowca z Las Olas rzucił, że chodzi o przemyt i że niektórzy mogli udać się na przykład do swojej starej babci w Tampie, tak dla zabicia czasu.

– Wkurzasz mnie – powiedział Joe.

– Jezu, nikt tu nie jest normalny, nieważne, czy jesteście staruchami, czy noworodkami – zachnął się barman.

Wtedy chłopak położył się przed barem.

– Hej, ty! Nic nie wiesz o Jezusie! – krzyknął, a potem wybiegł z knajpy i ruszył na pełnym gazie.

– Nie rozumie pan? Przecież to te jezuski tak biegają po ulicach, chcą, żeby państwo się nimi zaopiekowało, mają jakieś obozowisko w Miami. Jarają się Jezusem, zrazili się od tych z Północy – zachichotał jeden z klientów.

– Hipisi? – spytał barman.

– Nie, już nie hipisi. Oni są inni.

– Buntują się – westchnął barman. – Buntują się, tylko teraz inaczej.

## Dwie niewielkie powieści niezrównanej Tove Jansson.

O *Słonecznym mieście* – publikowanym w Polsce po raz pierwszy – sama Tove pisała tak: „Pewnego wieczoru trafiłam na Florydzie do bardzo cichego miasta. Rano też było puste i ciche. Stałam na ocienionym roślinami ganku. Cisza była niemal przerażająca. Wtedy zrozumiałam, że jestem w mieście dla osób w podeszłym wieku, w którym słońce świeci cały rok: miejscu nakierowanym na święty spokój. Moje miasto nie jest aż tak ciche, kłębi się w nim od emocji. Staralam się napisać książkę o tym, czym jest młodość i co to znaczy, gdy człowiek się zestarzeje. I gdy się zakocha”.

*Kamienne pole* to historia Jonasza, który na emeryturze zamierza napisać biografię niejakiego Igreka. Mimo że dopada go niemoc twórcza, wytrwale zbiera materiały. Zaczyna jednak wspominać własne życie i uświadamia sobie niewygodne fakty, jak choćby brak bliższych relacji z córkami. Zdaje sobie sprawę, jak często uciekał od życia w świat słów. Rozrachunek z samym sobą bywa bolesny.

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



9 788365 586834

cena 34,90 zł

PIRAMA KEDDY



lubimyczytać.pl

BOOKLIPS.PL IIII

ROOM